

# ZIMA POŚRÓD ŁODÓW



Juliusz Verne

Juliusz Verne

# ZIMA POŚRÓD LODÓW.

Wersja Demonstracyjna



Wydawnictwo Psychoskok  
Konin 2018

Juliusz Verne  
„Zima pośród lodów”

Copyright © by Juliusz Verne, 1880  
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2018

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania  
lub edytowania tego dokumentu, pliku  
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)

ZACHOWANO PISOWNIĘ  
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Adam Brychcy  
Projekt okładki: Adam Brychcy  
Druk: S. Burzyński  
Tłumacz: Stanisław Marek Rzętkowski  
Tytuł oryginału: Un hivernage dans les glaces  
Wydawnictwo: Ferdinand Hösick  
Warszawa, 1880

ISBN: 978-83-8119-316-0

Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.  
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin  
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706  
<http://www.psychoskok.pl/>  
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl/>  
e-mail:[wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)



## I.

### Czarna bandera

Proboszcz starożytnego kościoła w Dunkierce, w dniu 12 maja 18... roku wstał rano o piątą godzinie i, wedle zwyczaju, przygotowywał się do cichej mszy, którą miał odprawić, jak zwykle, w obecności kilku pobożnych rybaków.

Szedł właśnie do ołtarza, przyodziany w kapłańskie szaty, gdy

drzwi prowadzące do zakrystyi otwały się i stanął w nich jakiś człowiek, rozpromieniony radością i wzruszeniem. Był to sześćdziesięcioletni marynarz, mimo podeszłego wieku krzepki jeszcze i czerstwy, o postaci szlachetnej i twarzy nacechowanej dobrocią.

— Księżę proboszczu — zawołał — bądź łaskaw i wstrzymaj się!

— Cóż to cię sprowadza tak wczesnie, Janie Cornbutte? — zapytał zdziwiony proboszcz.

— Co mnie sprowadza?... Oto gorąca chęć, rzucenia się wam na szyję!

— Dobrze... ale to dopiero po mszy, której zapewne zechcesz wysłuchać.

— Po mszy! — odrzekł z serdecznym uśmiechem marynarz.  
— Ba!... ksiądz proboszcz jest najpewniejszy, że naprawdę odprawi zaraz mszą i że ja na to pozwolę?

— A dlaczegożbym nie miał jej odprawić? Wytłumacz-no się jaśniej! Trzeci dzwonek już przebrzmiął.

— Przebrzmiął, czy nie — odrzekł Cornbutte, — mniejsza o to. Zabrzmi on jutro równie dobrze, a tymczasem, księżę proboszczu, przypominam wam obietnicę, że pobłogosławicie własną ręką małżeństwo mojego syna Ludwika i méj siostrzenicy Maryi.

— Jakto, czy Ludwik powrócił? — zawołał radośnie kapłan.

— Prawie jakby już wrócił — odrzekł Cornbutte, zaciągając dłonie — bo równo ze wschodem słońca dano znać o zbliżaniu się naszego statku, który niegdyś poświęciliście sami, nadając mu śliczne imię Nieustraszonego.

— Jeżeli tak, to raduję się z warmi całym sercem, mój stary przyjacielu — zawołał proboszcz, zdejmując jednocześnie ornat i komżę. — Oho... przypominam ja sobie wybornie naszą umowę, dlatego też wikary mnie tu zastąpi, a ja służę wam i oczekuję chwili przybycia dzielnego Ludwika.

— Wybornie, ja tymczasem ręczę wam, zacny księże proboszczu, że nie da on wam długo czekać o próżnym żołądku! Zapowiedzie jużście wygłosili sami i nie potrzebujecie nic więcej, jak tylko dać mojemu chłopcu rozgrzeszenie z win, które popełnił tam, między niebem a wodą, na morzu Północnym. Doprawdy, cóż-to była za świetna myśl, żeby te dzieci połączyć w chwili powrotu Ludwika!... Prosto z pokładu pójdzie przed ołtarz!

— Tymczasem śpiesz się, mój stary, bo trzeba wszystko urządzić.

— Biegnę, księże proboszczu, i wracam jaknajprędzej.

Rzekłszy to, dzielny marynarz skierował się posuwistemi kroki ku swojemu domostwu, położonemu w załamku portowym, z kąd widać było rozległą płaszczyznę morską wspaniałą i groźną zarazem.

Jan Cornbutte był człowiekiem zamożnym; jego rzemiosło marynarskie pozwoliło mu zebrać wcale ładny majątek. Przez długi czas pełnił obowiązki kapitana na statku bogatego przedsiębiorcy w Hawrze, poczem osiadł w rodzinnej Dunkierce i zbudował wspomniany już statek Nieustraszony, na własny rachunek. Okręt ten, po kilku podróżach na morzu Północnym, sprzedał bardzo korzystnie swój ładunek drzewa, żelaza i smoły, co, ma się rozumieć, polepszyło jeszcze stan majątkowy jego właściciela. Obecnie Jan Cornbutte zdał dowództwo wyprawy na

syna, trzydziestoletniego marynarza, o którym inni kapitanowie mówili, że jest najdzielniejszym żeglarzem w całej Dunkierce.

Ludwik odjechał na ostatnią wyprawę, unosząc z sobą gorącą miłość dla Maryi, siostrzenicy swojego ojca, której chwile jego oddalenia wydawały się nazbyt długimi. Marya miała obecnie lat dwadzieścia. Była to piękna Flamandka, w której żyłach płynęła i krew holenderska. Jej matka niegdyś, umierając, zleciła ją opiece poczciwego Jana Cornbutte, a zacny ten marynarz pokochał dziewczę jak własną córkę, w ułożoném zaś małżeństwie widział zawczasu źródło prawdziwego i niezmałconego nigdy szczęścia.

Znak przybycia statku zwiastował także ukończenie wyprawy handlowej, która Janowi Cornbutte zapewniała obfite zyski. Nieustraszony, który wyruszył przed trzema miesiącami, dosięgłszy linii Bodoë, na zachodnim brzegu Norwegii, wracał niespodzianie, ukończywszy swe sprawy przed czasem zgóry przewidzianym.

Wszedłszy do mieszkania, Jan ujrzał wszystkich na nogach i żywo krzątających się. Marya, z rozplómonioném obliczem, przywdziéwała weselne szaty.

— Czy tylko statek nie uprzedzi nas? — zapytała z obawą wchodzącego.

— To téż trzeba się śpieszyć — odrzekł Jan. — Wiatr wieje od północy, a mój piękny Nieustraszony sunie jak strzała!

— Czy nasi przyjaciele wiedzą już o wszystkiém?

— Wiedzą.

— A notaryusz, a proboszcz?

— Bądź spokojna. Wszyscy są gotowi i czekają tylko na



ciebie.

W téj chwili wszedł ojciec Clerbaut.

— A cóż — rzekł — nieprawdaż że to szczęśliwy traf! Twój statek wraca teraz właśnie, kiedy rząd ma ogłosić dostawę drzewa dla marynarki.

— Co mnie to dzisiaj obchodzi — odrzekł Cornbutte. — Tyczy się to rządu, a nie mnie!

— Ojczye Clerbaut — ozwała się Marya z uśmiechem — my w téj chwili mamy na myśli jedną, jedyną tylko sprawę: oto powrót Ludwika!

— To prawda, jednakże — odrzekł zdziwiony trochę sąsiad — taka dostawa, to interes złoty.

— Wszak będziesz na weselu? — przerwał mu Cornbutte, ściskając dłoń jego z taką siłą, jakby ją chciał zmiażdżyć.

— Taka dostawa....

— Musisz być, i to ze wszystkimi naszymi przyjaciółmi, jakich mamy na lądzie i na morzu, mój Clerbaut. Prosiłem tu już wszystkich, a zaproszę jeszcze całą osadę statku.

— I czy pójdziemy na tamę? — spytała promieniejąca Marya.

— To się wié! Pójdziemy parami, wszyscy, na spotkanie!

Zaproszeni znajomi i przyjaciele przybyli, nie spóźniwszy się ani minuty. Do apelu stawili się wszyscy, chociaż było jeszcze bardzo rano, współczując ze szczęściem dzielnego marynarza, którego szczerze kochali. Tymczasem Marya, padłszy na kolana, modliła się gorąco, zamieniając wczorajsze prośby na dzisiejsze dziękczynienia. Gdy weszła do gościnnego pokoju, piękna i radosna, poczciwe sąsiadki pochwyciły ją w ramiona i tuliły w objęciach, a szorstkie dłonie mężczyzn ścisnęły silnie jój

drobne ręce.

Jan Cornbutte dał znak pochodu.

Był-to zajmujący widok, gdy ta wesoła gromadka, o wspaniałym wschodzie słońca, kroczyła drogą ku morzu. Wieść o zbliżeniu się i powrocie statku obiegała już całą przystań, więc głowy okryte szlafmycami ukazywały się z okien i uchylonych drzwi, a zewsząd słychać było życzliwe pozdrowienia i uprzejme pochwały dla narzeczonój.

Orszak zbliżał się do tamy nadbrzeżnej pośród głośnych błogosławieństw i serdecznych życzeń. Pogoda była prześliczna, a słońce świeciło tak radośnie, jakby miało udział w uroczystości. Wietrzyk północny marszczył zlekka fale, a kilka czółen rybackich, kierując się ku przystani, znaczyło długą bruzdę na wązkiem ujściu morza przy tamie.

Dwa przedłużenia tamy nadbrzeżnej wybiegają pod Dunkierką daleko na morze. Orszak weselny, zajmwszy całą szerokość takiego przedłużenia od strony północnej, kroczył po nim dopóty, póki nie dosięgnął maleńkiego domku strażnika, na samym końcu tamy.

Statek Jana Cornbutte coraz wyraźniej pozwalał się widzieć. Orzeźwiający powiew wiatru pędził wysmukły okręt, płynący szybko pod swoim bocianiem gniazdem, pod swojemi masztami i swojemi żaglami. Radość widoczna była zarówno na ziemi, jak i na pokładzie. Jan Cornbutte, z lunetą w ręku, odpowiadał wesoło na zapytania przyjaciół.

— Otóż mój dzielny statek! — wołał. — Wraca takim, jakim wyruszył z Dunkierki, bez najmniejszego uszkodzenia! Nie brakuje mu ani jednej linki!

— Czy widzisz pan swojego syna? — zapytał ktoś z obecnych.

— Jeszcze nie. Jest on tam teraz w swoim żywiole, w największym ruchu!

— A czemuż nie wywiesza swój bandery? — pyta Clerbaut.

— Alboż ja wiem? Z pewnością ma jakiś powód!

— Mój wuju, daj mi lunetę — odezwała się Marya, wrywając Janowi z rąk to narzędzie. — Ja go chcę pierwsza zobaczyć!

— A to jakim prawem? Przecież to mój syn!...

— Tak, mój wujciu, ale właśnie dlatego że twój syn, toś mu się przez lat trzydzieści miał dosyć czasu napatrzeć, a moim narzeczonym jest dopiero od lat dwóch.

Nieustraszony był teraz najzupełniej widoczny. Jego osada przygotowywała się do wylądowania. Żagle górne zostały ściągnięte. Można było rozpoznać majtków, uwijających się po linach. Ale ani Marya, ani Jan Cornbutte nie mogli dotąd powitać znakami przewodnika statku.

— Patrzcie, a toż pierwszy porucznik, Andrzej Vasling! — zawołał Clerbaut.

— A tamten... dalibóg, to Misonne, cieśla — rzekł ktoś z obecnych.

— I nasz przyjaciel Panellan! — zawołał inny, dając znaki wymienionemu tylko co marynarzowi.

Nieustraszony w tej chwili był oddalonym zaledwie o jakie paręset sążni od przystani i nagle nad jego dziobem wzniosła się i rozwinęła czarna bandera.

A więc na pokładzie miano żałobę.

Uczucie trwogi zjęło umysły wszystkich i serce narzeczonój.

Powrót statku był smutny.... Śród głębokiego milczenia przybił on do brzegu. Wnet też Marya, Jan Cornbutte i wszyscy

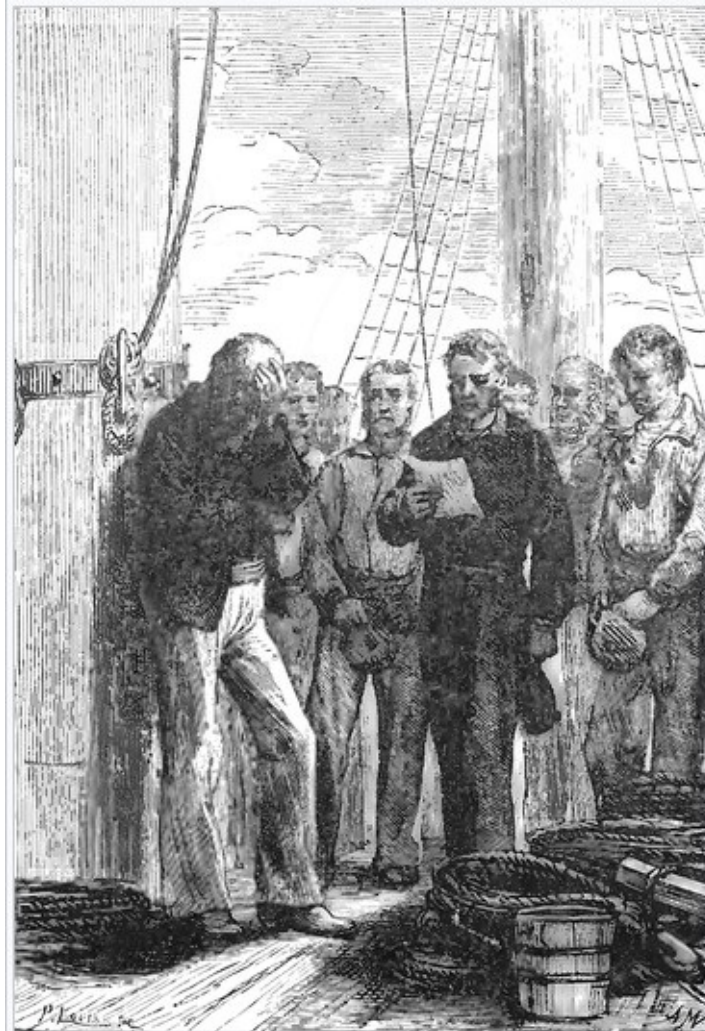
ich przyjaciele skupili się przy burcie i w jednej chwili znaleźli się na pokładzie.

— Mój syn! — zawołał Jan, który w okropnym przeczuciu na te dwa tylko wyrazy mógł się zdobyć.

Majtkowie, odkrywszy głowy, wskazali mu w milczeniu czarną banderę.

Marya, widząc to, wydała okrzyk rozpacz i padła omdlała w ramiona wuja.

Andrzej Vasling przyprowadził Nieustraszonego, ale Ludwika Cornbutte, narzeczonego Maryi, na statku tym nie było.



## II.

### Postanowienie Jana Cornbutte.

Po usunięciu Maryi, wziętej w serdeczną opiekę przez jej życzliwych przyjaciół, porucznik Vasling zdał sprawę Janowi Cornbutte z okropnego wypadku, który pozbawił go widoku ukochanego syna, a który dziennik okrętowy opisywał w następujący sposób:

„Na wysokości Maëlstromu, d. 26 kwietnia, okręt nasz, zatrzymany u przyłądka przez nieprzyjazny wiatr południowo-zachodni, spostrzegł znaki niebezpieczeństwa, dawane przez jakąś goelettę[1] na pełnym morzu. Statek ten, pozbawiony przedniego masztu, o jednym tylko żaglu, pędził ku wirowej otchłani. Kapitan Ludwik Cornbutte, widząc iż goeletta dąży do niechybnej zguby, kazał spuścić szalupę. Pomimo próśb i przedstawień swjej załogi, puścił się na morze w towarzystwie majtka Cortrois i Piotra Nouquet, cieśli. Osada wytężonym wzrokiem śledziła ruchy szalupy, aż do chwili zniknięcia jej wśród mgły. Noc nadeszła; morze burzyło się coraz silniej. Nieustraszony, którego wichry nieprzyjazne zapędziły tak daleko, był narażonym na to, iż go mogły pochłonać burzliwe wichry Maëlstromu, gdyby miał udać się w ich stronę. Pomimo niebezpieczeństwa, statek nasz krążył przez dni kilka około miejsca wypadku, ale napróżno: ani goeletty, ani szalupy z Ludwikiem Cornbutte i dwoma marynarzami nie ujrzano już. Wówczas porucznik Vasling, wobec zgromadzonej załogi, objął dowództwo okrętu i kazał go skierować na drogę ku Dunkierce”.

Jan Cornbutte, wysłuchawszy tego związłego sprawozdania,

płakał gorącymi łzami przez jakiś czas, ale mężne i szlachetne jego serce znalazło pewną pociechę w téj okoliczności, że syn zginął, niosąc pomoc bliźnim. Opuścił wreszcie biedny ojciec pokład okrętu. którego widok sprawiał mu prawdziwą boleść, i powrócił do osieroconego domu.

Smutna wiadomość o wypadku rozeszła się wkrótce po całej Dunkierce. Liczni przyjaciele starego marynarza śpieszyli doń z oznakami serdecznego współczucia. Majtkowie Nieustraszonego poczęli opowiadać szczegółowiej całe to straszne wydarzenie, a porucznik Vasling odmalował w żywych bardzo barwach przed Maryą poświęcenie jój narzeczonego.

Jan Cornbutte, gdy się już wypłakał i uspokoił, nazajutrz po wylądowaniu swego statku, rzekł do wchodzącego Vaslinga:

— Mój poruczniku, czy tylko jesteś pewny że Ludwik nie żyje?

— Tak, niestety, kapitanie!

— A czyś uczynił wszystko, czego potrzeba było do odszukania go?

— Wszystko, kapitanie, i właśnie dlatego jestem najpewniejszy, że Ludwik Cornbutte i jego towarzysze zginęli w otchłani Maëlstromu.

— Czy życzyłbyś sobie zatrzymać i nadal miejsce porucznika na moim statku?

— To zależy będzie od dowódcy.

— Dowódcą ja sam będę — odrzekł stary marynarz. — Pragnę jaknajprędzej przygotować do podróży mój statek, zebrać załogę i puścić się na morze w celu odszukania Ludwika.

— Ależ, kapitanie, wasz syn nie żyje! — rzekł nalegająco Vasling.

— Bardzo być może, poruczniku, ale i to jest prawdopodobnym że żyje i że ocalić go możemy. Pragnę zwiędzić wszystkie porty Norwegii, do których mógł być zapędzonym, a jeżeli w ten sposób posiędę pewnośc, że go już nigdy nie ujrę, wtedy wrócę, aby tu samotnie dokonać smutnego żywota.

Vasling, pojąwszy ze słów starca, że jego postanowienie jest silne i niewzruszone, nie nalegał dłużej i odszedł.

Jan Cornbutte odkrył także i Maryi swój zamiar, co spowodowało, iż w jęj pełnych łez oczach błysnął słaby promyk nadziei. Do chwili tęg przez myśl jęj nie przeszło, że śmierć narzeczonego nie jest bynajmniej dostatecznie sprawdzoną; teraz w serce jęj jednak wstąpiła nadzieja, któręj uchwyciła się całą siłą.

Stary marynarz postanowił, że Nieustraszony wypłynie natychmiast w drogę. Statek ten, wybornie zbudowany, nie potrzebował na szczęście żadnej naprawy. Na wezwanie zacnego kapitana, wszyscy poprzedni majtkowie stawili się bez wyjątku. Cała osada była taż sama, tylko dowódcę zmienić należało. Dawni towarzysze Ludwika Cornbutte, z których nie brakło ani jednego, byli następujący: Turquiette, Misonne cieśla, Bretończyk Penellan, który miał zastąpić Nouqueta jako sternik, Gradlin, Aupie, Gervique — wszystko to marynarze dzielni i doświadczeni.

Jan Cornbutte wkrótce powtórnie zagadnął Vaslinga, czy nie zechce towarzyszyć mu w tęg dalekiej podróży. Porucznik ten znał się doskonale na obrotach statku i dał tego dowód w ostatniej wyprawie. Obecnie, co było dziwnym i zagadkowym, Vasling widocznie usiłował Cornbutte'a do podróży zniechęcić

i starał się przedstawić same tylko trudności.

— Jak zresztą chcesz — odrzekł mu na to wszystko kapitan — bądź jednak pewnym, że przyjmimy cię, jako towarzysza, z otwartymi rękami.

Cornbutte miał w Penellanie człowieka zupełnie sobie poświęconego, który przez długie lata uczestniczył w każdej jego wyprawie. Marya, będąc jeszcze dzieckiem, przepędzała często długie, zimowe wieczory na rękach dzielnego Bretończyka, któremu za okazywaną serdeczność odpłaciła szczerém przywiązaniem. Penellan obecnie krzątał się najusilniéj około przygotowań do drogi i, jego zdaniem, należało użyć wszelkich środków, celem odnalezienia zaginionych rozbitków, bo Vasling nie uczynił w tym celu wszystkiego, co mógł być uczynić i co mu nakazywał obowiązek.

Po upływie ośmiu dni, Nieustraszony był gotowym do drogi. W miejsce towarów do zbycia, jak zwykle, zaopatrzono go w solone mięso, suchary, beczki z mąką, kartofle, wieprzowinę, wino, wódkę, kawę, herbatę i tytuń. Wyjazd naznaczono na 22 maja. W wigilią tego dnia, Vasling, który nie dał jeszcze Cornbuttowi stanowczéj odpowiedzi, przyszedł do jego mieszkania. I w téj chwili nie był zdecydowany, czy jechać, lub pozostać.

Cornbutta nie było w domu, jakkolwiek drzwi były otwarte. Vasling wszedł do izby gościnnéj, w której nie było nikogo, ale wnet się zatrzymał, gdy uszu jego z pokoju Maryi doleciał odgłos rozmowy. Słuchał więc uważnie i poznał głos Penellana.

Rozmowa zapewne trwała już dość długo, a w téj chwili zdawało się, iż Marya stara się przekonać o czémś starego marynarza i nie zgadza się z jego zdaniem.



— Ile lat ma mój wuj? — spytała po chwili.

— Około sześćdziesięciu — brzmiała odpowiedź.

— A pomimo to czyliż zamierzona wyprawa nie będzie dla niego niebezpieczną?

— Ba!... to co innego. Nasz kapitan jest człowiekiem tęgim i silnym — odrzekł marynarz. — Ma on ciało jakby z dębowego drzewa, a muskuły silne, nakszał drąga zapasowego. Zna się z morzem wybornie i może sobie z niego żartować!

— Mój poczciwy Penellanie, wierzaj mi, jest się zawsze silnym, kiedy się kocha. A zresztą trzeba też ufać Opatrzności. Rozumiecie mnie dobrze i z pewnością pomożecie mi w moim zamiarze.

— To niepodobna — odrzekł Penellan. — Kto wie co nas tam czeka, co będziemy musieli przecierpieć. Widziałem ja już najdzielniejszych i najwytrwalszych ludzi, co z takiej podróży nie wracali i... nie powrócą już nigdy.

— Mój drogi Penellanie — prosiła Marya błagalnym i rzewnym głosem — nie odmawiaj mi! Zdaje mi się, że mnie już nie kochasz!

Vasling domyślił się o co idzie i w tej chwili postanowił, że pojedzie.

— Kapitanie — rzekł, zwracając się do wchodzącego Jana Cornbutte — należę do twojej wyprawy i przyszedłem ci to oznajmić. Przyczyny, które mnie powstrzymywały, już są usunięte i możecie liczyć na moje poświęcenie.

— Nie wątpię o was ani na chwilę, poruczniku — odrzekł Jan i zawołał podniesionym głosem: — Maryo, moje dziecię, proszę cię tutaj!

Marya i Panellan weszli natychmiast.

— Puszczamy się jutro, ze wschodem słońca, na otwarte morze — oświadczył stary marynarz. — Moja biedna Maryo... oto ostatni wieczór, który przepędzimy razem!

— Mój drogi wuju!... — krzyknęła z głębi piersi Marya, rzucając mu się w objęcia.

— Niech cię tutaj Bóg ma w swój opiece; przy Jego najpotężniejszej pomocy odszukamy ci narzeczonego.

— Tak, musimy odnaleźć Ludwika! — zapewniał Vasling.

— Jakto, czy i pan należysz do wyprawy? — spytał zdziwiony Penellan.

— Tak, stary towarzyszu, Vasling będzie naszym porucznikiem — odrzekł Jan Cornbutte z wyrazem szczerego zadowolenia.

— Oho!... — dorzucił Bretończyk głosem szczególnym.

— Jego rady bardzo nam się przydadzą, bo jest marynarzem przedsiębiorczym i doświadczonym.

— Ależ pan sam, kapitanie — wtrącił Vasling — poprowadzisz nas, a wasza znajomość rzeczy i doświadczenie aż nadto tam wystarczą.

— A więc, moje dzieci, do jutra! Spotkamy się o świcie na pokładzie statku, a tym czasem idźcie poczynić ostateczne przygotowania.

Porucznik i majtek odeszli; Jan Cornbutte i Marya pozostali we dwoje. Dużo tam łez wylano podczas tego smutnego wieczora. Stary marynarz, przewidując osamotnienie siostrzenicy, dla uniknięcia jutrzejszych pożegnań, tak bolesnych, postanowił puścić się na morze bez widzenia się

z nią. Dał więc jój ostatni swój uścisk jeszcze dzisiaj, a nazajutrz, o trzeciej godzinie zrana, był już na nogach.

W chwili odjazdu znaleźli się na brzegu morza wszyscy przyjaciele starego marynarza. Proboszcz, który miał pobłogosławić związek Maryi i Ludwika, pośpieszył z błogosławieństwem dla odjeżdżających. Serdeczne choć milczące uściśnienie rąk wkrótce zamieniono i Jan Cornbutte wszedł bezzwłocznie na pokład okrętu. Osada była już zebrana; Vasling wydał ostateczne polecenia. Rozpuszczono żagle, a statek, popchnięty silnym podmuchem północno-zachodniego wiatru, puścił się na morze; w téj chwili na brzegu, śród gromadki klęczących, proboszcz zanosił gorące modły o szczęśliwą drogę dla swoich przyjaciół.

Gdzie zdąży ten statek?... Zmierza on po drodze, śród której zginęło bez wieści nawet tylu rozbitków! Jakże losy jego są niepewne, a mimo to z jaką odwagą dąży, aby stawić czoło tylu strasznym niebezpieczeństwom! Bóg tylko jeden wie, gdzie się zatrzyma... Niechajże go Bóg prowadzi!

### III.

## Płomyk nadziei.

W téj porze roku pogoda była przyjazna i Nieustraszony mógł w krótkim stosunkowo czasie dotrzeć do miejsca wypadku.

Plan Jana Cornbutte był bardzo prosty. Zamierzał on zatrzymać się u wysp Feroë, gdzie wiatr północny mógł zapędzić rozbitków. Następnie, gdyby zebrane tam wiadomości nie dały mu żadnych co do ich losu wskazówek, miał zamiar popłynąć

dalej na morze Północne, zwiędzić wszystkie porty zachodnie Norwegii, aż do Bodoë, która to miejscowość leży na najbardziej północnym punkcie tego kraju, i jeszcze wyżej, jeżeli tego okaże się potrzeba.

Andrzéj Vasling był tego zdania, w sprzeczności z zamiarami kapitana, że należy przedewszystkiém przeszukać okolice Islandyi, ale Penellan uczynił słuszną uwagę, że w chwili wypadku burza szła od strony zachodu, że zatém, jeżeli rozbitkowie nie zginęli w otchłaniach Maëlstromu, to musieli być zapędzeni w stronę Norwegii. Wnosił więc, że brzegi tego kraju najpiérw przepatrzyć należy, bo tam tylko najprawdopodobniéj można będzie odszukać ślady rozbitków. Nazajutrz po wyjeździe, Jan Cornbutte, siedząc na pokładzie z głową pochyloną nad ogromną kartą morza Północnego, zatopiony w dumaniu, uczuł dotknięcie drobnej ręki na ramieniu i usłyszał słodki głos:

— Odwagi, mój wujciu!

Odwrócił szybko głowę i, o dziwy, ujrzał przed sobą Maryą.

— Co to znaczy? Ty tutaj! — zawołał

— Kobiéta wszędzie winna iść za swoim mężem, a wolno jój to uczynić równie słuszenie, jak ojcu, który szuka swojego dziecięcia!

— Ależ Maryo, jakże ty zniesiesz te wszystkie trudy, których na żaden sposób uniknąć niepodobna. A zresztą czyliż nie zastanowiłaś się nad tém, że twoja obecność może nam być przeszkodą w poszukiwaniach?...

— Nie, drogi wujaszku, tak źle nie będzie, jestem na to zasilną!

— Któż wie, gdzie nas wiatry i burze zapędzą, moje dziecię. Spójrz na tę kartę! Zmierzamy ku tym okolicom, niebezpiecznym dla takich nawet żeglarzy, którzy w rzemiośle swoim wyrosli i zahartowali się na wszelkie utrapienia. A cóż ty... słaba dziewczyno!

— Ależ, mój wuju, jestem dzieckiem rodziny marynarzy. Czyliż nie wychowałam się wśród burz i walk z żywiołami?... A zresztą, jestem przy was, przy tobie, mój jedyny opiekunie, i mam tu Penellana, który strzedz mnie będzie.

— Aha!... Penellan!... Hej, Penellan, chodź-no tutaj!... — zawołał kapitan. — To on cię tu sprowadził, stary hultaj!

— Tak, mój wuju, ale to tylko dlatego, iż widział że przyszłabym tu i bez jego pomocy.

— Penellan!...

Bretończyk przybiegł.

— Słuchaj-no — rzekł doń surowo Cerubutte — czynię cię odpowiedzialnym za wszystko złe, które się przytrafić może Maryi.

— Bądź spokojny, kapitanie. Dziewczyna jest silna, odważna i będzie dla nas sama aniołem opiekuńczym. Wszak wiecie, co ja zawsze powtarzam: „niéma tego złego, coby na dobre nie wyszło.”

Od téj chwili pomieszczono Maryą w oddzielnej kajucie, którą dla niéj marynarze urządzili naprędce z możliwymi wygodami.

Po upływie ośmiu dni, Nieustraszony zatrzymał się u jednéj z Wysp Feroë, ale najszegółowsze poszukiwania były tam bezowocne. Ani jednego rozbitka, ani szczątka rozbitego okrętu od dawna tam nie widziano. Nawet wiadomość o rozbiciu była

tam zupełną nowością. Po dziesięciu zatem dniach przystanku, 10 czerwca, statek popłynął w dalszą drogę. Stan morza był pomyślny, wiatr przyjazny i silny. Nieustraszony mknął hyżo po falach w stronę Norwegii, której brzegi przetrząśnięto również bez skutku.

Jan Cornbutte skierował się wówczas ku Bodoë. Bardzo być może, że tam dowiéd się o imieniu rozbitéj goeletty, na ratunek której pośpieszył syn jego z dwoma towarzyszami.

W d. 30 czerwca statek w porcie Bodoë zarzucił kotwicę. Władze tamtejsze pokazały Cornbutte'owi butelkę, znaną na brzegu morskim, w której zawierała się karta z następującemi słowy:

„W d. 26 kwietnia, na pokładzie statku Froöern, któremu z pomocą pośpieszyła szalupa z francuzkiego okrétu Nieustraszony, zostaliśmy zapędzeni przez wichry i burze w okolice lodów. Oby Bóg zlitował się nad losem naszym!”

Po odczytaniu tych słów, Jan Cornbutte wzniosł do nieba dłonie śród goracéj, dziékczywnéj modlitwy. Był więc na śladzie swojego syna! Froöern więc była nazwa owéj goeletty; burze zagnały ją w okolice pólnocne, między wieczyste lody... To było już pewném, ale po za tą wiadomością ani słówka więcéj.

Nie należało tracić ani jednego dnia. Nieustraszony natychmiast począł się zaopatrywać w to wszystko, co mieć należało, aby stawić czoło niebezpieczeństwu morza Lodowatego. Cieśła Misonne obejrzał bardzo troskliwie ściany i wiązania okrétowe i oświadczył, że są one aż nadto silne, aby się oprzeć naciskowi lodów.

Za staraniem Penellana, który już nieraz polował na wieloryby w tych lodowych stronach, zniesiono na statek stosy

płótna, odzieży futrzanej, obuwia i spodni ze skór foki, a wreszcie i drzewa, potrzebnego, między innymi, do zbudowania sań, bez których na płaszczyznach lodowych obejść się niepodobna. Zaopatrzone się też w ogromną ilość spirytusu i węgla kamiennych, ponieważ było do przewidzenia, iż zimowanie wśród lodowisk okaże się koniecznym. Zakupiono także wielki ładunek cytryn, których sok jest wybornym środkiem przeciwko skorbutowi, chorobie właściwej tamtym stronom. Potrojono też zapasy mięs, sucharów i gorzałki i trzeba to było złożyć na najniższym pomoście, bo składy statku nie pomieściłyby tak wielkich zapasów. Nie zapomniano też o konserwach mięsnych, które w małej stosunkowo objętości zawierają wielką ilość soków pożywnych.

Z rozkazu Jana Cornbutte, zniesiono także do okrętu sporo siekier, oskardów i drągów, które posłużyć miały do torowania drogi pośród lodów; mogły się one przydać i wówczas, gdy potrzeba będzie opędzać się górom lodowym, płynącym wśród morza. Kapitan oświadczył także, że z okolic Grenlandyi wypadnie im zabrać kilka psów tamtejszych, które wybornie chodzą w zaprzęgu przy saniach.

Cała osada okrętu szczerze się zajęła temi przygotowaniem i zakrzętnęła się żywo. Aupic, Gervique i Gradlin, idąc za radą Penellana, przyodziali się zaraz w ubrania wełniane. Jest to koniecznością w tych stronach, gdzie, z powodu blizkiego sąsiedztwa z biegunem północnym, temperatura jest bardzo niska i zimno przejmujące.

Penellan, nie zwierzając się z tego przed nikim, pilnie uważał na każdy krok Vaslinga. Człowiek ten, Holender z pochodzenia, przybyły Bóg wie z kąd, dobry zresztą żeglarz, odbył dopiero

dwie podróże na pokładzie Nieustraszonego. Penellan nie mógł mu wprawdzie nic zarzucić, ale mu nie ufał, szczególnie od chwili w której spostrzegł, że Vasling usiłuje sobie zjednać względy Maryi.



Dzięki energii i ruchliwości osady, statek był gotowy do drogi w d. 16 lipca, to jest w piętnaście dni po wylądowaniu w Bodoë. Była to pora bardzo odpowiednia do wyprawy na morza podbiegunowe. Odwilż trwała od dwóch miesięcy i poszukiwania mogły trwać jeszcze przez czas jakiś. Dlatego też Nieustraszoney puścił się natychmiast w drogę i skierował się ku przylądkowi Brewster, położonemu na wschodnim brzegu Grenlandyi, pod



siedemdziesiątym stopniem szerokości.

## Koniec Wersji Demonstracyjnej

*Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.*

Wydawnictwo Psychoskok

